

15



Turcja: słabe rządy silnej ręki

21



Druhowie zucha Mateusza

64



Jak Instagram zmienia świat

Tematy tygodnia

- 12 Adam Grzeszak
Polska drugą Chorwacją?
15 Łukasz Wójcik **Tureckie kazanie**

Polityka

- 18 Rafał Kalukin
Śpiewakowie: jak syn liberała stał się lewakiem
21 Anna Dąbrowska
Drużyna Morawieckiego
24 Marek Świerczyński **Zbrojeniówka na kroplówce**

Społeczeństwo

- 26 Joanna Cieśla
Jak Polak uświadamia dzieci
29 Agnieszka Sowa
Psie życie w luksusie
32 Agnieszka Rodowicz **Afrykańczycy zatrzymani w Polsce**

Rynek

- 34 Joanna Solska
Polskie owoce w chińskich rękach
37 Cezary Kowanda **Narodowy Big Bank**
39 Przegląd informacji rynkowych

Świat

- 40 Michał Górski, Jędrzej Winiecki
WŁOCHY Polityczne skutki katastrofy wiaduktu
43 Maciej Okraszewski
Nowy kosmiczny wyścig
46 Wiesław Romanowski **ROSJA Putin bierze się za język**
48 Marek Ostrowski **FRANCJA Prawica podkrada idoli lewicy**

Historia

- 50 Michał Siedziako
W przeddzień Okrągłego Stołu
53 Edwin Bendyk
Edward Abramowski – radykał sprzed wieku

Nauka

- 56 Marcin Rotkiewicz
Amatorskie grzebanie w genach
60 Prof. Paweł Valde-Nowak
o badaniu przeszłości, neandertalczykach i tajemnicach polskich jaskiń

Ludzie i style

- 64 Aleksandra Żelazińska
Efekt Instagrama
67 Ryszard Wolff **Muzyczna mitologia**

Kultura

- 74 Olaf Szewczyk
Narodowe gry wideo
77 Reż. **Xavier Giannoli**
o religijnych objawieniach i pograniczu prawdy
80 Agata Szczerbiak
Justyna Szklarczyk
Silvana Imam: ikona równościowego popu
82 Bartek Chaciński
Pokolenie hip-hop
85 KAWIARNIA LITERACKA
Renata Lis

Na własne oczy

- 92 Marcin Kołodziejczyk,
fotografie Stanisław Ciok
Polak Niemiec dwa bratanki

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 86 Passent
- 88 Hartman • 89 Tym
- 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy, plusy i minusy
- 98 Polityka i obyczaje



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Wąsizm kontra muzułmanizm

Czy broda stanowi zagrożenie dla europejskich wartości i pod czym wpływem znajdują się noszący ją Polacy? Poseł Kukiz'15 M. Jakubiak ma na ten temat wyrobioną opinię. „Widzę tu duży wpływ muzułmanizmu. Tam jest propaganda noszenia brody jako atrybutu męskości”, nie kryje w rozmowie z jednym z tabloidów.

Wolny od wpływów muzułmanizmu Jakubiak nigdy brody nie nosił. Jako atrybut męskości Jakubiak od lat preferuje tradycyjne wąsy, z tym że wąsizm Jakubiaka obok aspektu seksualnego, posiada również silny ładunek patriotyczny. Jak twierdzi, po roku 89. na Zachodzie mówiło się, że Polaka można poznać po wąsach. „Chcieliśmy być Europejczykami, więc je goliliśmy. Ja nigdy nie miałem z tym problemu”, uspokaja.

Dziś gołym okiem widać, że chociaż na wsi wąsizm trzyma się mocno, to w dużych miastach przegrywa z muzułmanizmem. Zarośniętych muzułmanitów (stylizujących się dla niepoznaki na skandynawskich drwali) pełno po kawiarniach, wyższych uczelniach i na protestach w obronie sądów. Mimo to w opinii szefa MON M. Błaszczaka – polityka znanego z niechęci do muzułmanizmu – większym od nich zagrożeniem dla Polski są sodomici, którzy na nikogo się nie stylizują, tylko

paradują po ulicach i „próbują narzucić swoją interpretację praw i obowiązków na innych”. A znając sodomitów, można się spodziewać, że swoją sprzeczną z naturą interpretację będą chcieli narzucić nam gwałtem, nie zważając na to, że większość Polaków jest innej orientacji.

Na szczęście skupione wokół szefa MON środowiska antysodomicie są czujne. W Poznaniu siły sodomitów udało się przepędzić z miejskich tramwajów, które z okazji Parady Równości próbowały przystroić w nieprzystwoite tęczowe flagi. Niestety, sodomici nie ustępują; mówi się, że intensywnie penetrowane przez nich środowiska lewicowe chcą założyć partię polityczną. Ma się nazywać „Kocham Polskę” i oczywiście wiadomo, o jaką miłość tu chodzi. Trudno się dziwić ministrowi Błaszczakowi, że nie chce, aby Polska padła ofiarą takiej miłości, bo jako katolik jest za tym, żeby w Polsce kochać normalnie, po Bożemu. „W narodzie polskim jest pewność tego, że to wszystko co jest skonstruowane po Bożemu, jest normalne”, wyjaśnia. Niektórzy przyznają, że najlepszym dowodem na to jest zresztą konstrukcja samego M. Błaszczaka. Chociaż wiele osób twierdzi, że słuchając wystąpienia tego polityka, odnosi się wrażenie, że nawet jeśli mamy tu do czynienia z konstrukcją bożą, to jest to konstrukcja zwykłego cepa.



SANTA FE

Nowej Generacji

Czas i przestrzeń dla Ciebie.

już od **149 900 zł**



Santa Fe Nowej Generacji

Hyundai Santa Fe to samochód, który szanuje Twój czas i oferuje Ci przestrzeń do realizacji planów. Komfortowe wnętrze dla siedmiu osób z trzema rzędami siedzeń dba o wygodę podróży, a napęd na cztery koła HTRAC zapewnia punktualne osiągnięcie celu w każdych warunkach. Bogate wyposażenie z zakresu bezpieczeństwa obejmuje asystenta bezpiecznego wysiadania wykrywającego zbliżające się pojazdy, wsparcie bezkolizyjnego cofania i system monitorujący tylne siedzenia. A gdybyś chciał poczuć się jeszcze bardziej komfortowo, Santa Fe dysponuje najwyższej klasy nagłośnieniem Krell oraz wyświetlaczem head-up display. Zainwestuj w swój czas i swoją przestrzeń z nowym Hyundaiem Santa Fe.

Zapraszamy do salonu.



5 LAT
GWARANCJI
BEZ LIMITU KILOMETRÓW

Prezentowana cena dotyczy modelu Santa Fe 2.0 CRDi (150KM) 6MT 2 WD w wersji Premium (o zużyciu paliwa w cyklu mieszanym 5,7 l / 100 km i emisji CO₂ - 151 g/km) jest rekomendowaną ceną brutto i nie wyklucza wprowadzenia promocji dealera. Samochód prezentowany w reklamie to Santa Fe 2.0 CRDi (185KM) 8AT 4 WD w wersji Platinum z pakietem Inspiration i panoramicznym oknem dachowym (o zużyciu paliwa w cyklu mieszanym 6,2 l / 100 km i emisji CO₂ - 162 g/km) i różni się wizualnie od samochodu o komunikowanej, rekomendowanej cenie. 5-letnia Gwarancja Bez Limitu Kilometrów Hyundai dotyczy jedynie tych samochodów Hyundai, które były sprzedane Klientowi końcowemu przez Autoryzowanego Dealera Hyundai na warunkach opisanych w książce gwarancyjnej. Szczegóły dot. propozycji cenowej i programu gwarancyjnego, w tym wyłączeń gwarancji, dostępne są u Autoryzowanych Dealerów Hyundai. Zawisła 2019-01-10. Ta informacja nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów Kodeksu cywilnego.

[Kup książkę](#)

Dwa lata wyborów



Jerzy Baczyński

A więc: zaczynamy! Po ogłoszeniu przez premiera terminu wyborów samorządowych (21 października i 4 listopada) oficjalnie rozpoczęła się kampania wyborcza, która potrwa prawie dwa lata. To będzie wciąż ta sama kampania, chociaż po drodze formalnie wybory będą cztery. Rozłożony na raty plebiscyt, z jednym zasadniczym pytaniem: PiS czy nie? Powtarzamy, że stawką tych czwórwyborów jest nie tyle ewentualna i naturalna w demokracji zamiana rządzącej ekipy, ile sama demokracja. PiS już nawet nie ukrywa, że tzw. demokracja liberalna, nakładająca na władzę cały system ograniczników, po powtórnym zwycięstwie tej partii nie będzie utrzymana.

Ideowy prekursor PiS Victor Orbán – o kilka lat i dwa wyborcze zwycięstwa wyprzedzający „polskich przyjaciół” – zadeklarował to z całą szczerością: „czas odrzucić zachodnioeuropejskie dogmaty”, ponieważ są do wyboru „systemy, które nie są zachodnie, nie są liberalnymi demokracjami, a być może nawet nie są demokracjami, a jednak przyczyniają się do sukcesów swoich narodów”. Podał przykłady Rosji, Chin i Turcji, powinien też dorzucić Węgry, gdzie tłamszona i „kryminalizowana” przez państwo opozycja już raczej nie może wygrać. Jeśli i my zmierzamy w tę stronę, to by znaczyło, że rozpoczynamy serię, być może już ostatnich (na dekadę? na pokolenie?) prawdziwych, konkurencyjnych wyborów. Zakładając, oczywiście, że PiS nie spróbuje, jeszcze w tym cyklu, zmienić ordynacji („przechylić boisko w swoją stronę”) albo w Sądzie Najwyższym unieważnić ewentualny sukces opozycji.

Gdyby przyjąć, że wolne i uczciwe wybory są kulminacją demokracji, to sama kampania wyborcza najlepiej pokazuje, jakiej ta demokracja jest jakości. Cóż, od prawie 30 lat praktykując głosowania i doświadczając kampanii, chyba pozbyliśmy się romantycznych złudzeń, które żywiłimy w pierwszych latach wolności. Wiary, że oto politycy będą rywalizować na programy, spierać się przy pomocy argumentów, przekonywać nas do swoich pomysłów na Polskę itd. Aż wstyd dziś przyznać, że kiedyś naprawdę się w takie bzdury wierzyło, a politycy jawnie odrzucający ten schemat narażali się na powszechne oburzenie medialne. W miarę postępów demokracji uczuliśmy się cynizmem, a kandydaci i ich partie technik marketingowych oraz kampanijnych manipulacji. Dziś już jesteśmy dojrzałi: nikt chyba nie sądzi, że ta dwuletnia kampania będzie „merytoryczna” (to słowo pozostało z dawnych, dziecięcych czasów). Wiadomo, że będzie brudna, agresywna, odwołująca się niemal wyłącznie do emocji, ogłupiająca, chamska, pełna szczucia, pogardy, nienawiści. Większość z tego, co zobaczymy, to wynalazki obecnie miłośnicwie panującej formacji. PiS w tym sensie był zawsze partią nowoczesną, wyprzedzającą „ciamciamracie” z dzisiejszej opozycji. Z tym że teraz będzie dużo gorzej i ostrzej, bo stawka większa, a władza dysponuje dziś wszelkimi narzędziami dyskredytowania przeciwników.

Opozycja staje do bardzo nierównej rywalizacji. Ma znacznie mniej środków, także finansowych. Od trzech lat jest w defensywie, niepewna swoich racji, podzielona, rozproszona. Jej liderzy to osobowości raczej na normalne czasy, a nie na „bój ostatni”. Jest też coś więcej: naturalne ograniczenia liberalnego kodu i języka.

Specjaliści od marketingu politycznego, w większości podziwiający PiS za bezwzględność, radzą, aby i opozycja się zbrutalizowała, opuściła opowieści o demokracji, sądach, konstytucji i Europie, uprościła przekaz, skupiła się na atakowaniu przeciwnika. Początek kampanii, billboardy PO z wykrzywioną w nienawiści twarzą Jarosława Kaczyńskiego i tabloidowymi sloganami wskazując, że Koalicja Obywatelska postanowiła na razie słuchać rad specjalistów (choć na użytek własnych wyborców i tych, których może jeszcze przekonać, powinna też zacząć mówić, co będzie, jak wygra). PiS już odpowiedział w klasycznym stylu, pokazując „totalną opozycję” jako siewców chaosu i awanturników. Co to ma wspólnego z wyborami samorządowymi? Ano tyle, że – jak pisaliśmy – wybory lokalne są dla największych partii tylko etapem tej samej ogólnopolskiej kampanii. A nieszczerne meritum? Ono jest już tylko zestawem masek.

Jedno z wielkich kampanijnych odkryć PiS polega na tym, że – obojętnie, jakich to wyborów dotyczy – trzeba obiecywać bez żadnych ograniczeń i zahamowań. Co najwyżej, stosując retoryczne amortyzatory typu „chcielibyśmy żeby”. Więc chcielibyśmy zbudować 10 linii metra, największe w Europie lotnisko, do 2024 r. „będziemy dążyć do” zwiększenia wydatków na wojsko, podwoimy płace, emerytury i ceny skupu malin. Przyszłość ma nieograniczoną pojemność na obietnice. Wszystkie te deklaracje są całkowicie bez znaczenia i całkowicie bezpieczne, bo w razie jakiegokolwiek niepowodzenia – zgodnie z regułami współczesnego marketingu politycznego – bez trudu można wskazać winnych (polecam lekturę tekstów o bratnich populizmach w Turcji – s. 15, i we Włoszech – s. 40).

W epoce naiwnej uważało się, że polityk musi mieć trochę powagi, odpowiedzialności za słowa i stan państwa, jakieś poczucie skromności, realizmu, wstydu. Ale wyborcy, nie tylko w Polsce, przestali to nagradzać i cenić. Dlaczego? Bystra obserwatorka polityki Anda Rottenberg podzieliła się (w „Wysokich Obcasach”) swoją amatorską intuicją, potwierdzaną wszakże przez wielu politologów: „Większość ludzi na świecie nie czyta książek ani gazet. Jesteśmy otoczeni analfabetami, którzy podążają plemiennie za tym, który obieca im wszystko”. Myśl, że polityczne nieszcześcia współczesnego świata biorą się z ignorancji, w tym z nieczytania gazet, jest mi szczególnie bliska, ale mówiąc całkiem serio, widąc, że dzisiejsze kampanie polityczne stają się coraz bardziej puste, teatralne, marketingowo krojone pod medialnych wyborców, którzy oczekują od polityki bardziej „chleba i igrzysk” niż debat i „uzgadniania dobra wspólnego”.

Jeśli te poczwórne wybory zlekceważymy, potraktujemy jako widowisko, będziemy mieli swoje „Cztery wesela i pogrzeb”. Bo pod przykrywką kretyńskiej często kampanii chodzi wciąż o sprawy śmiertelnie poważne: naszą wolność, bezpieczeństwo, pieniądze, życiowe szanse, przyszłość. Odwracanie się od polityki zawsze się mści. Będziemy o tym – naiwnie i uparcie – przypominać.

Jan Koza



© JAN KOZA

KOMENTARZ

Metoda na rozlane mleko

Ewa Siedlecka



Machina ruszyła. Komisja Europejska przeszła do drugiego etapu procedury, która skończy się zaskarżeniem pisowskiej „reformy sądownictwa” do unijnego Trybunału Sprawiedliwości. Na wysłane w lipcu „wezwanie do usunięcia uchybienia” polski rząd odpowiedział arogancko: że z jego reformami wszystko jest OK, a Komisja nie powinna się wtrącać w nie swoje sprawy. W tej sytuacji Komisja nie miała innego wyjścia, jak zrobić drugi krok w procedurze, czyli przesłać „uzasadnioną opinię” o naruszeniu przez Polskę prawa unijnego. To nie jest „głos w dyskusji”, na który Polska może przesłać jakąś polemikę. To jest polecenie. Jeśli Polska nie podejmie kroków wskazanych w „uzasadnionej opinii”, następnym działaniem Komisji, w połowie września, będzie skarga przeciwko Polsce do Trybunału Sprawiedliwości. I – prawdopodobnie – wniosek o zawieszenie zaskarżonych przepisów. O zawieszeniu zdecyduje Trybunał.

Z wezwania do usunięcia uchybienia wynika, że zaskarżone będą nie tylko przepisy o „wycince” sędziów Sądu Najwyższego, ale także o Krajowej Radzie Sądownictwa, która – jak napisała Komisja – „w wyniku reformy z dnia 8 grudnia 2017 r. składa się obecnie z sędziów-członków mianowanych przez Sejm RP, co nie jest zgodne z europejskimi standardami niezależności sądów”.

To, że Trybunał zdecyduje o zawieszeniu przepisów o „wycince” sędziów wydaje się pewne. Wprawdzie zawiesił je już sam Sąd Najwyższy, wysyłając pytanie prejudycjalne do TSUE, ale dla sędziów, którzy je posłali, będzie to dodatkowe uprawnienie ich działania.

PiS & Kukiz

Prezident Andrzej Duda słusznie sięgnął po weto. Wybory europejskie nie wylaniają większości rządzącej, proporcjonalność jest ich istotą. Standardem – wynikającym z prawa wspólnotowego – jest niski próg wyborczy, ułatwiający wejście do Parlamentu Europejskiego nawet stosunkowo niewielkim partiom, niemającym często reprezentacji w parlamentach krajowych.

Lipcowa ustawa PiS, która podnosiła realny próg wyborczy do kilkunastu procent, była pogwałceniem tej reguły i blokowała w gruncie rzeczy samodzielne europejskie aspiracje wszystkich ugrupowań poza PiS i Platformą. Partia Jarosława Kaczyńskiego byłaby głównym beneficjentem nowych rozwiązań. Gdyby PiS utrzymał poparcie do eurowyborów, mógłby mieć ok. 30 deputowanych – mniej więcej tyle, co CDU Angeli Merkel, co by go wzmacniało w ewentualnych rozmowach o dołączeniu do największej frakcji – Europejskiej Partii Ludowej.

Dlatego nie wydaje się, żeby weto prezydenta było ustawką z PiS. W szczególności niemądry wydaje się argument,

że Kaczyński wystraszył się wspólnego startu PO, Nowoczesnej, PSL oraz SLD i dlatego zlecił prezydentowi weto. Wspólne listy centrowo-liberalno-lewicowej opozycji to skutek uboczny ordynacji, z którym PiS liczył się od początku prac nad ustawą: zyski w postaci wzmocnienia własnej reprezentacji w europarlamencie, scementowania układu z partiami Ziobry i Gowina, wykończenia Kukiz’15 i zablokowania ewentualnej listy eurosceptycznej zdecydowanie przeważały.

Krótko mówiąc, PiS nie po to uszył sobie ordynację, by mu ją Duda spruł. A dlaczego ją spruł, to już inna historia. Nie bez znaczenia wydaje się kontekst decyzji – tuż po widowskim głosowaniu w Senacie, gdy PiS utopił pomysł Dudy na referendum, co przypominało wszystkim, jak ironicznie brzmi dziś określenie „głowa państwa”.

Ważniejsze niż choć mały zemsty na PiS były jednak zapewne kalkulacje dotyczące przyszłości po wyborach parlamentarnych. Duda gra bowiem nie tylko o poszerzenie swojej bazy wyborczej w II turze wyborów prezydenckich o zwolenników Kukiz’15 czy PSL. W Pałacu Prezydenckim marzy się o rządzie koalicyjnym; taka sytuacja stawiała by Dudę w roli superarbitra i rozgrywającego. Podtrzymanie istnienia mniejszych partii

Pewne wydaje się też to, że władza PiS nie uzna zawieszenia przepisów o „wycince”. Jej zdaniem prawo Unii nie obejmuje organizacji krajowych wymiarów sprawiedliwości. Ale TSUE już dwukrotnie w tym roku orzekł inaczej: w sprawie portugalskiej i w sprawie pytania sądu irlandzkiego. Stwierdził, że skoro Traktat o UE i Karta Praw Podstawowych gwarantują prawo do rzetelnego sądu, to krajowe systemy sądownictwa muszą być tak zorganizowane, by gwarantowały niezależność sądów i niezawisłość sędziów.

Rząd PiS kwestionuje prawo Trybunału Sprawiedliwości do sądzienia, podobnie jak kwestionował prawo Trybunału Konstytucyjnego, zanim go przejął. Jeśli Trybunał Sprawiedliwości wyda wyrok w sprawie pisowskiej „reformy” wymiaru sprawiedliwości, PiS ogłosi, że to „decyzja przy kawie i ciasteczkach”, bo Trybunał przekroczył swoje kompetencje. I wyroku nie wykona. To spowoduje nałożenie na nasz kraj kar wynikających z Traktatu (kara naliczana jest za każdy dzień zwłoki w realizacji nałożonych przez Trybunał obowiązków).

Ale zanim to się stanie, PiS będzie się bardzo śpieszył, by obsadzić Sąd Najwyższy swoimi ludźmi. Już KRS zaczęła opiniowanie kandydatur. Do końca października będą już mieli większość w SN i można się spodziewać wyboru nowego I Prezesa SN. PiS prowadzi politykę faktów dokonanych, by w momencie kiedy zapadnie wyrok TSUE powiedzieć: sorry, mleko się rozlało.

To samo, jeśli wyrok TSUE będzie dotyczył KRS. PiS powie: dobrze, w przyszłości inaczej wybierzemy sędziów do Rady, ale dziś mamy taką – i tak zostanie.

Tylko dokąd ta droga prowadzi? W przypadku Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego – wiadomo: do ich przejęcia. Jak będzie z Trybunałem Sprawiedliwości? Unią Europejską? PiS chce je przejąć?

W Trybunałe Sprawiedliwości są już dwie polskie sprawy o pisowską „reformę” sądownictwa. Teraz będzie trzecia. PiS może i nie uzna wyroków, które w nich zapadną. Ale żadna władza nie trwa wiecznie. Wyroki TSUE posłużą do tego, żeby – mimo polityki faktów dokonanych – władanie PiS wymiarem sprawiedliwości też wiecznie nie trwało. Będą podstawą do usunięcia stamtąd jego ludzi i odbudowy niezależnego sądownictwa uczciwie, bez łamania zasad praworządności.

– które PiS chce zlikwidować – jest więc dla Dudy żywotnie ważne.

Kluczowe pozostaje utrzymanie poparcia PiS, dlatego prezydent – inaczej niż przy wecie do ustaw sądowniczych – publicznie i kuluarowo uprzedził, że nowelizacja ordynacji mu się nie podoba. Dlatego oficjalna reakcja PiS na weto była stonowana. Żadnej ze stron nie opłaca się dziś otwarta wojna, moc zachowuje na razie deklaracja Kaczyńskiego, że to Duda będzie kandydatem PiS w 2020 r.

Plan prezydenta, by pozostając w orbicie PiS, zadbać o relacje z Kukizem i PSL (a nawet Partią Razem, która wspólnie z nimi apelowała o weto) – może jednak nie wypalić. Wybory europejskie – które przez decyzję prezydenta będą dla PiS trudniejsze – przypadają zaledwie kilka miesięcy przed kampanią parlamentarną. Słabszy wynik partii Kaczyńskiego w eurowyborach, przetrwanie Kukiz’15 i ewentualne zaistnienie jakiegś nowej prawicy utrudni walkę PiS o Sejm. I nawet jeśli straty będą matematycznie niewielkie, rzędu 2–3 pkt proc., to mogą się okazać zbyt duże, by PiS utrzymał samodzielną większość. A jak PiS straci władzę, to i szanse Dudy na reelekcję zmaleją.

WOJCIECH SZACKI



Kronikarze sukcesu

Każdy władca ma takiego Kadłubka, na jakiego sobie zasłużył.

Niebawem wystartuje sejmowa komisja śledcza ds. wykrycia sprawców „kradzieży” 250 mld zł, zwana inaczej komisją ds. VAT. Napisał: 250 mld zł, ale to jest tzw. liczba ruchoma. W zależności od tego, jak bardzo dany polityk PiS chce oszołomić słuchaczy, liczba ta pęcznieje – słyszałem nawet o 400 mld. Również sformułowanie „wykrycie sprawców” nie ma nic wspólnego z prawdziwymi powodami powołania tej komisji. Sprawcy albowiem zostali już wskazani, teraz zadaniem komisji jest tylko znalezienie paragrafu i przegłosowanie ich winy. Sprawa jest więc banalna, wielokrotnie przećwiczona przez PiS i osobiście przez ministra Ziobrę. Pojawiła się jednak mała zagwozdka. Otóż o ile w pierwszym półroczu 2017 r. – głównie zresztą na skutek dobrej koniunktury, a nie uszczelniania – do budżetu wpłynęło o 18 mld zł VAT więcej niż w pierwszym półroczu 2016 r. (co ówczesny wicepremier Morawiecki triumfalnie i codziennie obwieszczał), to po sześciu miesiącach bieżącego roku, mimo szybciej rosnącej gospodarki, zebrano tylko o 3 (!) mld zł VAT więcej niż w pierwszym półroczu 2017 (co obecny premier Morawiecki pomija dyskretnym milczeniem).

Jest lato, czytelnicy tego felietonu leżą na plaży albo siedzą na trzcinowym fotelu, popijając kruszon (nie wiem, co to jest, ale brzmi dobrze), byłoby zatem samobójstwem zanudzanie ich ekonomicznymi wywodami. Powiem więc tylko tyle, że uszczelnianie VAT miało przynieść 50 mld zł rocznie, a przyniosło – według ekspertów – 12–15 mld zł i na tym się zakończyło. Ktoś złośliwy mógłby nawet powiedzieć, że tak słabutki wynik tegoroczny świadczy o ponownym rozszczelnieniu VAT, mnie jednak wszelka złośliwość jest obca, więc tego nie powiem. Może jednak przewodniczący komisji poseł Horała pochylił się i nad tym przypadkiem?

Przejdźmy teraz do tematów bardziej godnych kanikuły. W historii było wielu znakomitych i mądrych władców, tyle że nikt o tym nie wiedział, bo władcy ci nie postarali się o odpowiedniego kronikarza, który by ich przewagi barwnie i przekonująco opisywał. Nasz pan prezydent nie zrobił tego błędu i swoim Kadłubkiem uczynił ministra Szczerskiego, który systematycznie otwiera nam oczy na liczne zasługi swego chlebobdawcy, których my, prostaczkowie, do tej pory jakoś nie mogliśmy dostrzec. Myślałem na przykład, że Andrzej Duda poprzez swoje niezłomne podporządkowanie Kaczyńskiemu w dziele bezczelnego gwałcenia konstytucji stał się jednym z autorów ostrego konfliktu politycznego w Polsce. Na szczęście z tego błędnego i jakże krzywdzącego głowę państwa przekonania wyprowadził mnie i miliony rodaków pan Szczerski, oświadczając w radiowej Trójce, iż: „Prezydentura przypada na okres bardzo drastycznego zaostrenia konfliktu politycznego, wywołanego przez agresywną opozycję. I pan prezydent jest jedynym politykiem, który działa ponad tym sporem”.

Tak zawstydzony przez pana ministra muszę wyznać także inne moje grzechy. Otóż w ślepotę swojej wyznawałem pogląd, że na skutek odchodzenia Polski od zasad i wartości demokratycznych, skłócenia ze zdecydowaną większością państw europejskich oraz przyjmowania szkodliwych, akceptowanych także przez prezydenta ustaw (np. o IPN) pozycja i znaczenie Polski, a tym

samym i prezydenta w stosunkach międzynarodowych, znacznie osłabły. Przyznam, że z tym poglądem czułem się źle, z ulgą więc przyjąłem słowa Krzysztofa Szczerskiego, który odkrył (chyba nie tylko przede mną) nieznane dotąd, acz absolutnie kluczowe dla pokoju światowego zasługi pana prezydenta. Cytuję: „Warto też zwrócić uwagę na wizytę prezydenta Dudy w Korei Południowej, w strefie zdemilitaryzowanej przy granicy z Koreą Północną. Prezydent rozmawiał także z prezydentem Korei Południowej. Niedługo później nastąpiły zmiany polityczne na Półwyspie Koreańskim”.

Prezydent nie dostrzega śmieszności tych ocen. Przeciwnie, najwyraźniej nie może wyjść spod wrażenia, jakie co i raz robi na ministrze Szczerskim. No cóż, każdy władca ma takiego Kadłubka, na jakiego sobie zasłużył.

Prezydent zawetował ordynację europejską. Powód jest prozaiczny: gdyby ją podpisał, o drugiej kadencji mógłby raczej zapomnieć. W 2015 r. wybory wygrał dzięki poparciu Kukiz'15 i całej prawicowej drobicy. Swoim podpisem odciąłby ich od Parlamentu Europejskiego i tym samym wykreśliłby ich z listy swoich wyborców. Takie jest prawdziwe tło decyzji odmownej, a użyte w uzasadnieniu argumenty – choć słuszne – to tylko ozdobniki.

Przy tej okazji nie mogę sobie odmówić drobnej satysfakcji. W senackiej debacie nad ordynacją powoływałem się na opinię senackich legislatorów, którzy wykazali, że ustawa PiS narusza ustaloną przez Radę Europejską zasadę, iż próg wyborczy nie może przekraczać 5 proc. Taki pogląd ostro zaatakował wicemarszałek Senatu Adam Bielan, który podczas dyskusji opinię biura legislacyjnego Senatu określił jako „kuriozalną, żeby nie powiedzieć żenującą” oraz jako „taki duży zgrzyt, jeśli chodzi o pracę naszego Senatu”. Zrozumiałem, że broniąc tej opinii, sam stałem się osobnikiem niepoważnym, a może nawet „żenującym i kuriozalnym”. Już myślałem, że będę musiał z tym żyć, gdy nagle z ust samego Andrzeja Dudy usłyszałem, że wetując ustawę, wziął pod uwagę... opinię senackich prawników! Niby trochę mi lżej, ale z drugiej strony może wicemarszałek ma rację? Może jednak prezydent Duda rzeczywiście bywa czasami żenujący i kuriozalny? W końcu Adam Bielan zna go lepiej...

Premier Morawiecki na spotkaniu z rolnikami: „Polskie rolnictwo może być lokomotywą wzrostu gospodarczego”. Poprzednio słyszeliśmy, że lokomotywami są: budownictwo, górnictwo, produkcja zbrojeniowa, drony, pojazdy elektryczne itp. Z tego wynika, że główną lokomotywą wzrostu powinna być produkcja lokomotyw.

Odeszła Kora, którą kochałem, podobnie jak kochały Ją miliony Polek i Polaków. Odeszła Ona – ale *non omnis moriar!* – została i towarzyszy nam Jej twórczość. „Czekam na wiatr, co rozgoni/Czarne pisowskie zasłony/Wstanę wtedy na raz/Z słońcem twarzą w twarz”. Myślę, że Kora nie miałaby nic przeciwko temu, aby tak zmieniony fragment „Kra-kowskiego spleenu” stał się w trakcie opozycyjnych manifestacji swoistym hymnem demokratycznej opozycji.





© STANISŁAW CIOK

Konstytucja czy Ewangelia?

Rozmowa z dr. hab. **Pawłem Boreckim**, specjalistą od prawa wyznaniowego, o pokusie religijnych rządów w Polsce.

JOANNA PODGÓRSKA: – „**Bardzo boleśnie powrócił ostatnio wypowiedzi, że w Polsce rządzi konstytucja, a nie Ewangelia – jak te słowa abp. Wacława Depo brzmią w uszach prawnika?**

PAWEŁ BORECKI: – Można je rozpatrywać na kilku płaszczyznach.

Po pierwsze, jako przejaw odwiecznego sporu między systemem prawa stanowionego, którego zwieńczeniem jest konstytucja, a systemem norm religijnych. W państwach demokratycznych, w euroatlantyckiej kulturze prawnej powszechnie przyjęte jest, że w przypadku sprzeczności między prawem stanowionym a normami religijnymi, pierwszeństwo daje się normom prawa stanowionego, z konstytucją na czele.

Po drugie, można te słowa rozpatrywać w kategoriach sporu, jaki toczył się ponad 20 lat temu przy finalizacji prac nad obecną konstytucją. Strona solidarnościowo-kościelna domagała się zapisu, że choć konstytucja jest najwyższym aktem prawnym, ale prawa stanowionego, nad którym jest jakieś prawo ponadkonstytucyjne, mogące normy konstytucyjne uchylać. Pojawilo się wówczas logiczne pytanie: kto miałby decydować o treści norm ponadkonstytucyjnych? Oczywiście autorytety religijne, czyli de facto hierarchia katolicka.

Po trzecie wreszcie, te słowa mogą być przejawem żalu czy zazdrości, że akt prawa stanowionego – konstytucja, pozbawiona sankcji religijnej, stała się w ostatnim czasie wartością dla bardzo szerokich kręgów społeczeństwa. Dowiodły tego masowe demonstracje przy okazji prac nad tzw. reformą sądownictwa, gdy przed Pałacem Prezydenckim czy siedzibą sądów stanęły dziesiątki tysięcy ludzi i skandowały: konstytucja, konstytucja! Ostatnio jesteśmy świadkami akcji ubierania pomników w koszulki z tym napisem. Okazało się, że akt normatywny stał się dla milionów Polaków czymś szczególnie wartościowym, co zdaje się konkurować z Ewangelią; tak chyba

odbiera to abp Depo. Moim zdaniem przeciwstawianie konstytucji Ewangelii świadczy o złej woli, bo nasza konstytucja jest pluralistyczna i reguluje inną płaszczyznę rzeczywistości niż Ewangelia i z nią nie koliduje. Można przestrzegać Ewangelii i bronić konstytucji.

Wydawało się, że po II Soborze Watykańskim Kościół zaakceptował ideę świeckiego państwa.

Zaakceptował w tych państwach, w których musiał, bo twarzo bronią swoich atrybutów. W Polsce Kościół w praktyce nie respektuje zasad autonomii i niezależności wspólnoty politycznej. Wskazuje na to choćby ostatnie wydarzenie, gdy episkopat otwarcie interweniował w kwestii ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego. Jak byśmy oceniali, gdyby prezydent czy premier interweniował w stanowisko Konferencji Episkopatu Polski dotyczące jej regulaminu wewnętrznego? Kuriozum.

Zastanawiałem się, jak tę interwencję oceniać. Ktoś mógłby powiedzieć, że Kościół interweniował w stanie wyższej konieczności, bo groziło nam zaburzenie zasad elekcji. To w jakiej mierze episkopat rozgrzesza. Nie miałbym żadnych zastrzeżeń, gdyby hierarchowie wystąpili nie *ex officio*, ale jako obywatele z troskami o dobro ojczyzny. Natomiast oficjalna interwencja episkopatu w sprawie stricte politycznej, dotyczącej wewnętrznych mechanizmów działania państwa, budzi zastrzeżenia co do zgodności z konstytucyjną i konkordatową zasadą autonomii państwa i Kościoła.

Wszystkie ekipy rządzące w Polsce ulegały presji Kościoła, ale ta przestała nawet udawać, że jakimkolwiek rozdział istnieje. Oficjalnie padają słowa, że rządzący stanowią prawo przed Bogiem. Dokąd to nas prowadzi?

W kierunku teokratycznego porządku życia publicznego, gdy o treści prawa stanowionego decyduje w istocie niepodlegająca demokratycznej kontroli grupa nacisku; lobby o charakterze religijnym. Tymczasem społeczeństwo

staje się coraz bardziej pluralistyczne. Wyraźnie spada frekwencja na niedzielnych nabożeństwach, wynosi już około 36 proc. Pluralizujemy się też pod względem etnicznym. Masowa imigracja zza wschodniej granicy oznacza także napływ nowego pierwiastka religijnego.

Kościół katolicki w Polsce stanął dziś przed zasadniczym dylematem: czy chce być Kościołem partyjnym czy zachować autorytet ogólnonarodowy? Wydaje się, że Kościół wybrał pokusę bieżącą, związał się z partią rządzącą, która gwarantuje, że system prawny będzie zgodny ze wskazaniami episkopatu, i zapewnia dotacje budżetowe, co zwalnia z obowiązku zabiegania o względy wiernych. Tylko że w dłuższej perspektywie może to doprowadzić do katastrofy. Kiedyś trend polityczny się odwróci. I wówczas Kościół, który żyrował poczynania partii rządzącej, będzie musiał za to zapłacić. Doświadczenia szeregu krajów, takich jak Francja, Hiszpania czy kanadyjski Quebec, wskazują, że wraz ze zwrotem sympatii politycznych następuje również odwrót od Kościoła, który popierał rząd. Niestety, tylko nieliczni polscy hierarchowie zdają się mieć świadomość tego niebezpieczeństwa.

Może presja Kościoła na państwo wynika z lęku Kościoła przed utratą wpływu na społeczeństwo? Łatwiej wymusić na politykach „dobrą” ustawę, niż dotrzeć do wiernych z dobrą nowiną.

„Dobra” ustawa to droga na skróty, gdy państwo swoim karzącym ramieniem zmusza wiernych do przestrzegania norm religijnych. Ale to oznacza indywidualne dramaty, bo ludzkie życie układa się bardzo różnie, stajemy przed rozmaitymi dylematami i wyborami. Związki wyznaniowe powinny mieć charakter dobrowolny, a Kościół w Polsce stał się dziś organizacją o charakterze parapaństwowym. Obywatele nie kontrolują autorytetów, które w istocie nimi rządzą, bo przecież Kościół katolicki jest organizacją, która mimo przemian posoborowych ma strukturę jako żywo przypominającą Cesarstwo Rzymskie w okresie dominatu. Lud boży, czyli w warunkach polskich przytłaczająca większość obywateli, nie ma prawie nic do powiedzenia i może oddziaływać jedynie za pomocą presji finansowej. Atmosfera, jaka wytworzyła się ostatnio w Polsce, także przy udziale Kościoła, tchnie totalitarnością. Przemiany poszły tak daleko, że cofnięcie zmian w stosunkach państwo-Kościół będzie wymagało dziesięcioleci konsekwentnej polityki.

Dr hab. **Paweł Borecki** – prawnik i wykładowca, adiunkt w Zakładzie Prawa Wyznaniowego na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Współautor książki „Dziesięć lat polskiego konkordatu”.



© GETTY

Prezydenci: Ilham Alijiew, Hasan Rohani, Nursułtan Nazarbajew, Władimir Putin i Gurbanguli Berdimuhamedow podczas szczytu państw nadkaspjskich w kazachskim Aktau, 12 sierpnia 2018 r.

Morze Kaspjskie podzielone!

No właśnie: czy to jest morze czy raczej jezioro? Tego dotyczyła główna kontrowersja podczas 22 lat trudnych negocjacji w 51 grupach roboczych, niezliczonych spotkań ministrów i czterech szczytów prezydenckich. A po upadku ZSRR kandydatów do podziału tego największego słonego akwenu międzyrządowego (370 tys. km kw.) było już pięciu zamiast dwóch: po staremu Iran, a do tego Rosja, Kazachstan, Azerbejdżan i Turkmenistan. Iran był zdania, że to jezioro, pozostała czwórka, że morze. To nie był spór czysto akademicki. W przypadku jeziora cała piątka podzieliłaby akwen po równo; w przypadku morza – proporcjonalnie do długości linii brzegowej, co stawiało w gorszej sytuacji Iran. Ostatecznie osiągnięto kompromis... że to ani morze, ani jezioro i że otrzyma status specjalny. Pod takim rozstrzygnięciem podpisało się właśnie w kazachskim porcie Aktau pięciu prezydentów.

Łatwiej było podzielić wodę: każde z państw otrzymało 15-milowy pas wód terytorialnych i jeszcze po 10 mil wyłącznej strefy połowów. Reszta akwenu jest otwarta, jak w przypadku każdego morza, choć poza piątką nikt inny nie może go używać do celów wojskowych.

Co pieczętuje dominację Rosji i jej Floty Kaspjskiej (to stąd m.in. wystrzeliwała rakiety na Syrię). A jednocześnie temperuje jakiegokolwiek przyszłe ambicje NATO. Trudniej było podzielić dno, tym bardziej że zalega pod nim przynajmniej 48 mld baryłek ropy i 9 bln m sześć. gazu ziemnego, a może i dużo więcej. O to głównie szły spory i liczne konkretne konflikty, nierzadko z udziałem sił zbrojnych. Uzgodniono, że dno zagospodaruje cała piątka, w oparciu o działki i sektory. Rosja, Kazachstan i Azerbejdżan już praktycznie to zrobiły z północną częścią akwenu. Za to każdy z sygnatariuszy będzie mógł swobodnie ciągnąć po dnie światłowody i rurociągi, co odblokowuje projekt połączenia naftowego Turkmenistanu z Azerbejdżanem, z pominięciem Rosji (która dotąd ten projekt sabotowała).

Na koniec dobra wiadomość dla jesioteń i amatorów kaspjskiego kawioru, najbardziej cenionego na świecie. Układ ma wprowadzić rozsądne kwoty połowowe, co przysporzy na ratunek populacji jesioteń, dramatycznie przetrzebianej po 2002 r. W porozumieniu jest też obszerny zapis dotyczący ochrony środowiska, ale mało kto wierzy w jego moc sprawczą, zwłaszcza jeśli teraz, w efekcie porozumienia co do złóż, ze zdwojoną mocą ruszą prace wiertniczo-wydobywcze.

Noga w drzwiach

Nie chcemy w Unii Europejskiej koni trojańskich – ogłasza unijna komisarz ds. sprawiedliwości, spraw konsumenckich i równości Věra Jourová, i zapowiada walkę z unijnymi państwami, które lekką ręką, za inwestycje, przyznają ludziom spoza Wspólnoty (głównie Rosjanom) obywatelstwo. Proceder rozpoczął się dekadę temu, w czasie kryzysu gospodarczego. Austria, Cypr, Grecja, Litwa, Łotwa, Malta, Portugalia i Węgry wprowadzały programy „inwestycje za obywatelstwo”. Na Malcie wystarczy wpłata 650 tys. euro na rzecz funduszu rozwoju kraju, zakup lub dzierżawa nieruchomości i inwestycje w akcje o wartości co najmniej 150 tys. euro i obywatelstwo ma się w kieszeni. Za dodatkowe od 25 do 50 tys. euro za osobę mogą je uzyskać też pozostali członkowie rodziny.

Unijne obywatelstwo ratują niejednym budżet – program Malty, wprowadzony zaledwie cztery lata temu, przyniósł już 590 mln euro. Ale jednocześnie otwierają szeroko drzwi do całej Europy, pozwalając pracować i mieszkać w dowolnym kraju Wspólnoty oraz swobodnie podróżować po całym obszarze Schengen. Rzec można bagatelizować: według Eurostatu w 2016 r. w całej Unii złożono 994 tys. wniosków o obywatelstwo, a wnioski składane w ramach programów „inwestycje za obywatelstwo” stanowiły w tym jedynie 0,1 proc. Poza tym państwa członkowskie mogą ustalać własne kryteria obywatelstwa, a Komisja nie ma uprawnień, aby podobnych praktyk zabronić. I rzeczywiście, zabronić nie może, ale uprzykrzyć życie szczegółowymi procedurami już tak.

Tragiczna makabra

Tak rzecznik Watykanu skomentował publikację raportu na temat pedofilii w sześciu diecezjach Kościoła rzymskokatolickiego w stanie Pensylwania. Greg Burke podkreśla, że Watykan traktuje raport z „wielką powagą”, a jego ustalenia przyjął ze smutkiem i wstydem. Raport mówi o ponad tysiącu nieletnich molestowanych seksualnie przez 300 księży na przestrzeni 70 lat. Niektóre przypadki są drastyczne. Na przykład chłopca, który musiał się spowiadać u swego seksualnego prześladowcy z grzechu nieczystości. Śledztwo prowadziła tak zwana wielka ława przysięgłych, niezależna od władz kościelnych. Miała



© REX FEATURES/EAST NEWS

jednak, z mocy stanowego prawa, dostęp do kościelnych archiwów.

Jednak tylko dwóch księży może czekać wyrok sądowy, bo resztę obejmuje klauzula przedawnienia, co też wywołało już dyskusję. Raport wykazuje nie tylko przestępstwa duchownych, ale także ich ukrywanie i rozmywanie przez lokalnych biskupów. Co gorsza, wymienia się w tym kontekście obecnego amerykańskiego **kardynała Donalda Wuerla**, który przed laty jako biskup w Pittsburghu, właśnie w stanie Pensylwania, miał nie reagować na zgłaszane mu przypadki pedofilii. Obecnie prócz niego z zarzutami pedofilskimi borykają się kardynał George Pell z Australii i inny Amerykanin, Theodore McCarrick (który w lipcu sam zrzekł się czerwonego kapelusza otrzymanego jeszcze za pontyfikatu św. Jana Pawła II). Aż trzech „książąt Kościoła” z takimi zarzutami to rzecz bez precedensu. Nic dziwnego, że biskupi amerykańscy zaprosili watykańskich wizytatorów do współpracy w sprawie raportu z Pensylwanii i zarzutów przeciwko abp. McCarrickowi. To może nie wystarczyć, bo w USA już krąży apel teologów i działaczy katolickich, by cały episkopat USA, wzorem chilijskiego, oddał się do dyspozycji papieża Franciszka.

W Waszyngtonie nie będzie defilady

Prezzydent Trump, w przeciwieństwie do prezydenta Dudy, ma węża w kieszeni. Też planował swoją defiladę, również miał setną rocznicę do uczczenia: zakończenia zwycięskiego udziału Amerykanów w I wojnie światowej. I w ostatniej chwili pożałował kasy.

Wszystko zaczęło się przed rokiem, kiedy prezydent Trump z małżonką, u boku prezydenta Macrona, obserwował 14 lipca w Paryżu defiladę na Polach Elizejskich. Był nią wyraźnie zauroczony – Francuzi wiedzą, jak się robi takie huczne fety, mile łechcące dumę narodową. Po powrocie ogłosił, że zrobi podobną u siebie, a raczej, że przebijie Francuzów („moja defilada lepsza od twojej defilady”). Miała się odbyć w stolicy, przemaszerować Pennsylvania Avenue, od Białego Domu po Kapitol, pięć rodzajów wojsk – plus komponent powietrzny – oraz weterani i przebierańcy w historycznych mundurach (to się prezydentowi szczególnie podobało w Paryżu, przez co impreza trwała bite dwie godziny). Ostatnia taka defilada odbyła się w Waszyngtonie w odległym 1991 r., (czczono wówczas zwycięstwo (?) w wojnie w Zatoce), i na jej podstawie oszacowano koszty: 10–30 mln dol. Na początku odpadły czołgi, bo wtedy, mimo gumowych ochraniaczy, poniszczyły stołeczny bruk. Potem zaczęły się rozmaite przytyki, że to raczej w stylu Kim Dzong Una, przewodniczącego Xi czy Putina. A Pentagon przecież tnie koszty, w czerwcu odwołane zostały ważne manewry w Korei Południowej. Nawet patriotyczny Legion Amerykański grupujący weteranów rzucił z ironią, że może lepiej za te pieniądze powołać Departament Spraw Weteranów, którego Ameryka dotąd się nie dorobiła.

Sprawy przyspieszyły, gdy do Białego Domu dotarł ostateczny kosztorys defilady: podobno na 92 mln dol. Trump uznał w tweecie, że to stanowczo za drogo. Po biznesowemu rzucił: zaproponujcie jakąś lepszą cenę za rok! I zapowiedział, że na defiladę honorującą zakończenie I wojny 11 listopada pojedzie do... Paryża.

Sinizację w arabizację

Prawie stan wojenny to rzeczywistość Sinciangu. Tak porządku w autonomicznym regionie na zachodzie Chin widzą krytycy chińskiej partii komunistycznej. Dostarczają dowody na dyskryminację przeważnie muzułmańskich Ujgurów, ludu pochodzenia tureckiego, stanowiącego większość z 21 mln mieszkańców regionu. Policja kontroluje przechodniów o tureckich rysach twarzy, powszechnie skanowane są telefony komórkowe, trzeba rejestrować nowo kupione noże i oddawać próbki DNA.

Komitet ds. Eliminacji Dyskryminacji Rasowej ONZ raportuje, że co najmniej milion Ujgurów przetrzymywanych jest bezprawnie w obozach internowania. Byli więźniowie opisują placówki jako czarne dziury, miejsce bezprawia. Władze ripostują, że to oszczerce plotki. Kampania wymierzona jest jedynie w radykałów i terrorystów, a oszukany przez ekstremizm religijny trzeba pomagać w drodze reedukacji, prowadzonej w odosobnieniu. Chodzi o to, by Sinciang nie stał się drugą Syrią lub Libią.

Ateistyczna partia komunistyczna intensywnie wymusza posłuszeństwo od wszystkich związków wyznaniowych. Tzw. sinizacja religii bywa totalna, ale czasem trafia na poważny opór. W sierpniu urzędnicy w 20-tys. mieście Weizhou, leżącym w autonomicznym regionie Ningxia, nakazali rozbiorę meczetu, ich zdaniem samowoli budowlanej. Lokalni muzułmanie urządzili antyrządową manifestację, która – co w Chinach nieczęsto się zdarza – przyniosła skutek. Meczet zostaje, choć prawdopodobnie czeka go usunięcie kopuły i innych „zbyt arabskich” elementów.

Tymczasem państwowy chiński koncern CSCEC stawia w Algierze meczet, z najwyższym na świecie minaretem, mierzącym 265 m. Algierczycy utrzymują, że będzie to trzecia największa świątynia muzułmańska, ustąpi tylko Mekce i Medynie. Chińscy robotnicy pracują 24 godziny na dobę i tylko zła pogoda może pokrzyżować plany zakończenia przedsięwzięcia do końca roku.



© AP/EAST NEWS

O szarfię, orderze i rekordzie prezydenta

Oto realizm magiczny w wydaniu andyjskim. Tuż przed świętem boliwijskich sił zbrojnych skradzione zostały prezydencka szarfa oraz bogato zdobiony order – wojskowy odpowiedzialny za ich strzeżenie w poprzedzającą uroczystość noc udał się bowiem na wizytę do domu publicznego, a cenne insygnia zostawił w zaparkowanym pod nim samochodzie. Rabunek błyskawicznie stał się tematem numer jeden w mediach, również społecznościowych, policja i tajne służby rzuciły się na poszukiwania,



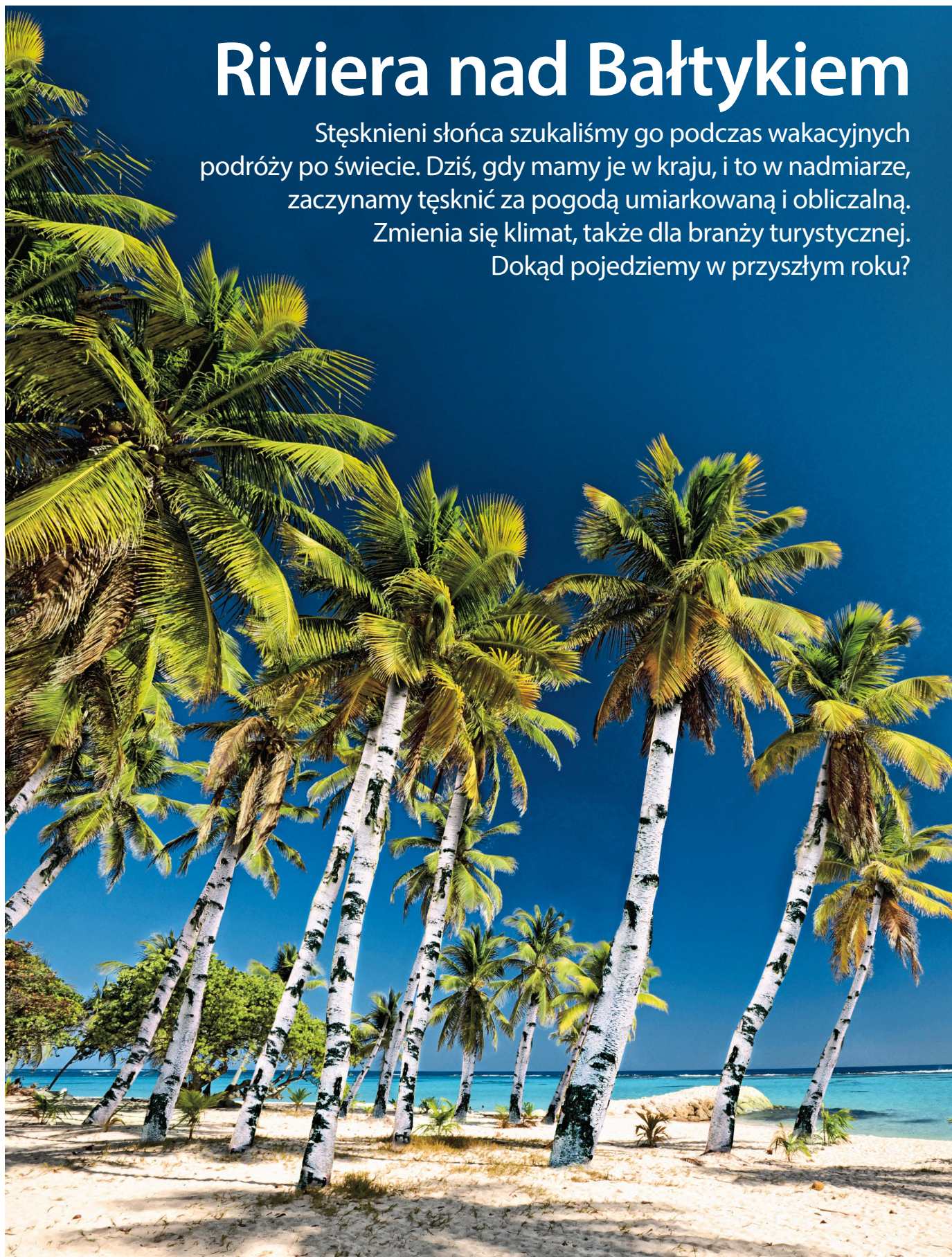
© AP/FOTOLINK

jeden z ministrów publicznie deklarował, że za sprawką „na pewno stoją Peruwianczycy”. Ostatecznie, po anonimowym telefonie przestraszonych złodziei, plecak z cenną zawartością odnaleziono w jednym z kościołów w La Paz – ale prezydent na paradzie wystąpił bez ozdoby pierś.

Dla Evo Moralesa to tylko przykry incydent w szczęśliwym momencie: w tym miesiącu został najdłużej urzędującą głową państwa w historii boliwijskiej demokracji. I wcale nie zamierza iść na emeryturę: po ponad 12 latach na stanowisku prezydenta oficjalnie zapowiada ponowny start w przyszłorocznych wyborach. Nie przejmując się, że zabraniamu mu tego konstytucja. Dzięki nacjonalizacji przemysłu gazowego kraj pod jego rządami cieszył się średnim wzrostem 5 proc. nawet w czasie, gdy sąsiedzi wpadali w recesję, a poziom ubóstwa zmniejszył się o połowę, więc Morales jest co do przyszłego roku pewny swego. Tym bardziej że w niemal całkowicie indiańskim kraju jest pierwszym prezydentem, który ma właśnie rdzenne (a nie europejskie) pochodzenie – a dla większości wyborców to nawet ważniejsze niż pomyślna koniunktura. Okazji do ponoszenia szarfy oraz orderu zapewne mu nie zabraknie.

Riviera nad Bałtykiem

Stęsknieni słońca szukaliśmy go podczas wakacyjnych podróży po świecie. Dziś, gdy mamy je w kraju, i to w nadmiarze, zaczynamy tęsknić za pogodą umiarkowaną i obliczalną. Zmienia się klimat, także dla branży turystycznej. Dokąd pojedziemy w przyszłym roku?



© MAREK KWIATKOWSKI/GETTY (2)

Tego lata nie tylko Polska, ale też cała półkula północna smaży się w słońcu. Zewsząd płyną komunikaty o bitych rekordach. Dla Szwedów, Norwegów, Finów i Duńczyków to był najgorętszy lipiec w historii. Za kołem podbiegunowym zanotowano 30 st. C. Brytyjczycy deklarują, że tak gorąco nie było u nich nigdy w czasach nowożytnych. Rekordy ciepła zanotowano w Denver (40,5), Montrealu (36,6), Glasgow (31,9), Tbilisi (40,5), Erewanie (42), Lizbonie (43). Japończycy tego lata przeżyli nie tylko rekordowe upały, ale na dokładkę jeszcze gigantyczną powódź.

Zanosi się na to, że we wrześniu będzie jeszcze gorąco. Dla krajów turystycznych to spory problem, bo może odstraszać gości, którzy dotychczas chcieli się wygrzać na słońcu, a teraz mogą to zrobić u siebie w domu. Na dodatek taka gorąca aura dla krajów basenu Morza Śródziemnego niesie tradycyjne problemy z suszą, brakiem wody i pożarami. Tego lata Półwysep Iberyjski wprost się gotował – w 41 spośród 50 prowincji Hiszpanii wydano ostrzeżenia przed wysokimi temperaturami, które przekraczały 40 st. W ogniu stanęła spora część portugalskiego wybrzeża Algarve, popularnego miejsca wypoczynku. Paliła się też grecka Attyka, zginęło prawie sto osób, w tym dwójka turystów z Polski. Wysoka temperatura i dym nad Atenami sprawiły, że trzeba było zamknąć Akropol.

Tymczasem bałtyckie plaże przypominają śródziemnomorskie. Upalne słońce, woda ciepła jak nigdy wcześniej. – *Takiego lata nie pamiętam. Plażować można było już w maju, a w czerwcu było jak w dobrym lipcu. A potem to już zrobił się tropik. Gdyby nie tych kilka deszczowych dni pod koniec lipca, byłoby idealnie* – zachwyca się pan Piotr, szef jednego z pensjonatów na Helu. Ostatnio zbliżoną pogodę, choć nie tak upalną, widziano tam w 1997 r. Nawet sinice, które pojawiły się w tym roku zaskakująco wcześniej, nie zburzyły dobrego nastroju. – *Część moich gości nic sobie z nich nie robiła i kąpała się w morzu, oczywiście nie na strzeżonych plażach, bo tam ratownicy wyginali z wody. Goście tłumaczyli mi, że Bałtyk taki ciepły, że szkoda nie skorzystać. A sinice im nie szkodziły, były tylko uważać i nie zachłusnąć się wodą.*

Gość wykąpany i dobrze wysmażony na upalnym słońcu, to gość zadowolony i nieawanturujący się. Dlatego pan Piotr każdego dnia z uwagą śledził prognozy pogody, bo wiedział, że zimno i deszcz przyniesie mu natychmiast falę reklamacji, że łóżko za twarde, poduszka jakaś nie taka, a na śniadaniu było czerstwe pieczywo. I w ogóle, co tu robić? Zacznie się też dramat komunikacyjny, bo goście siadają do samochodów, by szukać atrakcji poza plażą, a wtedy droga przez półwysep stanie się kompletnie nieprzejezdna. Komunikacja obniża jakość wypoczynku na Pomorzu Gdańskim. W ubiegłym roku bywało, że korek zaczynał się już w Helu, a kończył ponad 30 km dalej. A i na autostradzie A1 latem jest tłoczno, zwłaszcza przed bramkami.

Bałtyk czy Morze Czarne?

Ubiegły rok był wyjątkowo pechowy, bo gości przyjechało co niemiara, znalezienie wolnego pokoju graniczyło z cudem, tymczasem pogoda nie dopisała. Było zimno, padało. Zapewne dlatego w tym roku mimo tropikalnych upałów nad Bałtykiem nie brakuje tabliczek „wolne pokoje”. – *Wiele osób, wyjeżdżając w ubiegłym roku, deklarowało: w następnym roku zamiast do Władysławowa czy Łeby pojedziemy do Bułgarii* – tłumaczy pan Piotr. Dodaje, że z ciekawości sprawdził oferty biur podróży i odkrył, że do Bułgarii można na tydzień polecieć już za 1600–1700 zł. Żeby za takie pieniądze przez tydzień przeżyć nad polskim morzem trzeba zaciskać pasa. A przecież jeszcze trzeba tam dojechać i wrócić, co też kosztuje.

Polski Bałtyk, choć kapryśny, do najtańszych nie należy. Zresztą podobnie jest na innych turystycznych odcinkach, w Niemczech czy na duńskim Bornholmie. Tradycyjnie drogi jest wypoczynek na wybrzeżach Morza Północnego czy Morza Wattowego (to obszar Holandii). Dlatego tak wielu turystów z Europy ciągnie latem na południe, na plaże Grecji, Turcji, Hiszpanii, Portugalii, Chorwacji. Od pewnego czasu turystycznym przebojem w klasie popularnej jest Bułgaria, a ostatnio także Albania. Odbudowują swoją pozycję po terrorystycznym kryzysie Egiptu i Tunezji. Choć turyści już o tamtych sprawach zapomnieli, to w szczycie letniego sezonu jeżdżą tam tylko najbardziej odporni na wysokie temperatury. Ponad 40 stopni na plaży w Hurghadzie – na to trzeba amatora. Ale takie temperatury notowane są ostatnio także w kurtortach portugalskiego wybrzeża Algarve.

Turysta all inclusive

Mimo to Polaków chętnych do letniego wypoczynku na egzotycznych plażach nie brakuje. Tego roku zamiar udania się na zagraniczny urlop deklarowało aż 7,5 mln osób (urlop w kraju planowało 11 mln). – *W czerwcu i w lipcu z biurami podróży wyjechało na wakacje 45 proc. turystów więcej niż w zeszłym roku* – informuje Radosław Damasiewicz, dyrektor marketingu Travelplanet.pl. I choć biura podróży oferują także wypoczynek w kraju, to jego udział jest marginalny (ok. 1 proc.). W kraju Polacy wypoczynek organizują sobie sami.

Najpopularniejsze kierunki wyjazdów to Grecja (głównie wyspy), Turcja, Bułgaria, Hiszpania, Egipt, Albania, Włochy, Tunezja, Cypr, Chorwacja. Na miejsce najchętniej lecimy samolotem. Udział wycieczek autokarowych i z dojazdem własnym szybko maleje, bo czarterowe linie lotnicze oferują transport nie tylko szybszy, ale także konkurencyjny cenowo.

– *Tegoroczne zagraniczne wakacje są ok. 200 zł tańsze od ubiegłorocznych, choć koszty wzrosły. To efekt walki o rynek, jaką toczą touroperatorzy. Są gotowi zredukować swoje marże do minimum, by zdobyć klientów* – ocenia Krzysztof Piątek, prezes Polskiego Związku Organizatorów Turystyki. Trudno się więc dziwić, że mimo wspaniałej pogody w kraju Polacy nie rezygnują z zagranicznych wczasów. Decyduje o tym nie tylko cena, ale i standard wypoczynku, zwłaszcza że zwykle pokoje hotelowe na zagranicznych wczasach są klimatyzowane, a w kraju tego wyposażenia często brakuje.

– *Spora część turystów wybiera hotele czterogwiazdkowe, a niektórzy nawet pięcio. I oczywiście zawsze all inclusive, to dla polskiego klienta sprawa podstawowa. Za te same pieniądze nad polskim morzem można wynająć miejsce w hotelu najwyższej trzygwiazdkowym i to z wyżywieniem typu HB – śniadanie plus obiadokolacja* – wyjaśnia Jarosław Kałucki z Travelplanet.pl.

Słońce, pełna micha i alkohol non stop na wyciągnięcie ręki to dla polskiego masowego turysty scenariusz idealnego wypoczynku. Decyzje wyjazdowe zapadają często w ostatniej chwili. Wciąż wielką popularnością cieszą się imprezy last minute, czyli te, do rozpoczęcia których zostało nie więcej niż 30 dni. Dlatego kiedy na początku sierpnia biura podróży zanotowały spadek zainteresowania zagranicznymi wczasami, część ekspertów doszła do wniosku, że Polacy dostrzegli, iż pogoń za słońcem nie ma sensu, skoro tyle go mamy na miejscu. Kryzys okazał się chwilowy i w kolejnych tygodniach w biurach podróży zapanał ożywiony ruch.

Firmy turystyczne z optymizmem patrzą w przyszłość. Wierzą, że oferta zagranicznych wczasów będzie kusząca dla coraz większej liczby Polaków. Zmiany klimatyczne tego trendu nie odwrócą. Większy lęk szefów biur turystycznych niż upały budzą zagrożenia terrorystyczne. Egipt i Tunezja po serii zamachów na dłuższy ▶